

Robert
Gałka

Hrabia

Tom I



 Silver Lemon

Robert Gałka

HRABIA

PROJEKT OKŁADKI:

Dariusz Herbowski

ZDJĘCIE:

Artur Gałka

KOREKTA I REDAKCJA:

Ligia Brzozowska Piotr Rodak

PRODUKCJA WERSJI E-BOOK:

Marcin Kamyk Kamiński (dobre.media)

ISBN:

978-83-948059-7-5

WYDAWCA:

KAGO

KONTAKT:

kago@skazaniec.com

Copyright © 2018 Robert Gałka & KAGO

www.skazaniec.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez
zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2018

*Piotrowi Rodakowi.
Bez Ciebie nie byłoby Hrabiego”.*

tom I
Karmannyj wor

I

W oddali przebrzmiała sygnatura u Św. Bartłomieja. Już kwadrans na południe – pomyślałem – gospodarz zaraz powinien przyjść.

Zeskoczyłem z wozu, by zadać koniom obroku. Niech wie, że dbam o żywiznę. Powiesiłem im na łbach worki z paszą, po czym wdrapałem się z powrotem na wóz. Konie zastrzygły uszami i zaczęły z apetytem jeść. Ulokowałem się wygodnie na pustych worach po mące, zsunąłem czapkę na oczy i założyłem ręce za głowę.

Pilnowałem towaru gospodarza, który opijał w pobliskiej karczmie udane interesy. Tak zarabiałem na życie. Czternastoletni chłystek w przydługiej marynarce przerobionej na nicejską modę, często głodny. Biegałem na posyłki. Gdy było trzeba, przyniosłem machorkę lub kankę piwa. Innym razem pilnowałem wozu lub pomagałem kupcowi odnieść ciężki towar. Staszowski targ znałem jak własną kieszeń. Pozwalało mi to zarobić trochę grosza i uniezależnić się od ojca, który rzadko przychodził do domu trzeźwy.

Rynek powoli pustoszał. Większość okolicznych gospodarzy szykowała się do powrotu. Układali towar na wozach, poprawiali uprzęże. Część z nich dobijała ostatnie interesy.

Wówczas na łów wychodzili wytrawni żydowscy kupcy. Wiedzieli dokładnie, że chłopci, którzy do tej pory nie sprzedali towaru, puszcza go po niższej cenie. Nikt przecież nie chciał wracać do domu z pełnym wozem. Obok mnie przeprowadzano właśnie taką transakcję.

Dwóch znanych mi z widzenia Żydów próbowało wytargować jak najlepszą cenę za zboże. Zagląдали do kilku

rozwiązanych worów, kręcili głowami, krzyczeli i gestykulowali. Właściciel towaru patrzył z niejakim zdumieniem na kupców. Ci, zamiast targować cenę z gospodarzem, kłócili się zawzięcie między sobą. Ich sprzeczka stawała się coraz gwałtowniejsza.

Jeden z nich podniósł ręce do góry i krzyknął:

– Ty grandus ty jesteś! Co ty mówisz? Ile ty chcesz dać gospodarzowi za tą pszenicę? Toż to jest puch a nie pszenica! To najlepsze ziarno, jakie z dopuszczenia Jehowy na tym targu się znajduje.

– Najlepsza? Najlepsza?! Co ty opowiadasz Jachim? Czy tobie oczy odjęło, to sama plewa nie ziarno! Ty sobie zęby połamiesz, jak z niej mąkę zrobisz. Za to można dać 20 kopiejek za pud!

Podsunałem czapkę wyżej na czoło i z ciekawością przypatrywałem się kłótni. Pud pszenicy kosztował nie mniej niż 90 kopiejek.

– Oj ty! Co ty opowiadasz? Dla pana dziedzica – handlarz skinął głową w stronę gospodarza – koniecznie trzeba dać 35 kopiejek za pud i to loco! Sam to na swoim chytrym grzbiecie zanieziesz do piekarni.

– Ile? Ty chcesz nas zrujnować? Kto cię geszeftu uczył?! – Drugi z kupców w rozpaczy zaczął szarpać brodę.

Nagle ktoś szturchnął mnie w ramię. Odwróciłem głowę. Obok mnie stał lekko podchmielony właściciel wozu, którym się opiekowałem. W ręku trzymał niewielką paczkę w przetłuszczonym papierze.

– Dobrze pilnowałeś towaru – powiedział do mnie podpitym głosem. – Widzę, że i na koniach się znasz, nakarmiłeś chabety. Masz, jedz na zdrowie. Koszerna, czosnkowa. Najlepsza kiełbasa na targu – dodał, podając mi zawiniątko. – To za to, że o konie zadbałeś. Tu masz rubla za fatygę. – Gospodarz wręczył mi monetę.

– A dziękował, dziękował – uśmiechnąłem się, złącząc z kozła. – Jak będzie trzeba, jeszcze przypilnuję.

– Czemu nie, jak mnie spotkasz, przypomnij się. Gdy kto uczciwie robi, dobrze zarobi! Co to za hasena¹? – Spytał, wskazując na kupców. – Czemu te starozakonne tak się szarpią?

– Towar chcą od chłopą kupić i farmazona mu wstawiają – odparłem.

– Jak głupi, to się da na krzyk wziąć – gospodarz pokiwał głową. – Bywaj młody. Wypatruj mnie na przyszłym targu – powiedział, wskakując na kozioł.

Podszedłem do handlarzy. A nuż i tu trafi się okazja zarobić – pomyślałem.

– Cicho mi tu Żydzi! – Wtrącił się właściciel pszenicy. – Dacie po 80 kopiejek i bierzcie wszystko nawet.

Handlarze spojrzeli po sobie i na chwilę przycichli. Jeden z nich przywołał mnie gestem ręki. Podszedłem do nich i spytałem:

– W czym panom kupcom pomóc?

– Znasz Herszela, tego, co ma handel wszystkim? – Spytał. – Biegnij do niego, tak na jednej nodze i przyprowadź wózek. Powiedz, że dla Jachima. Ćwierć rubla za fatygę dostaniesz, jak się uwiniesz.

– Jak mam nie znać, to na Opatowskiej – wzruszyłem ramionami. – Już pędzę!

¹ hasena – śmieszna, zabawna sytuacja (gwara)

Wyrazy wymagające wyjaśnienia są opatrywane przypisem przy pierwszym wystąpieniu. Wszystkie określenia znajdują się również w Słowniku na końcu książki.

Stałem przed małym kantorkiem zdobnym w pstry szyld, który dumnie głosił:

„Handel Wszystkim – Hershel aun zun²”.

Właściciel interesu patrzył na mnie badawczo.

– Chłopak, dla kogo ty chcesz ten wózek? – Spytał.

– Toż mówię, że dla Jachima. Ziarno targuje na rynku, pan Herszel da mi tę dryndę, bo towar czeka!

– Ty mi tu szajgec³ nie krzycz, bo pogonię! – Fuknął rozeźlony. – Ja cię nie znam i mam ci wózek dać? A jak ty mi go ukradniesz?

– Tak, ukradnę i się zaprzęgnę – mruknąłem zły, że stracę zarobek.

Kupiec wszedł do sklepu i krzyknął:

– Herszl, kum sznel! Gdzie on się podziewa, utrapienie nie syn. Taki ma po mnie interes przejąć? On mnie z torbami puści!

Z głębi sklepu wybiegł chłopak, zdawałoby się, lustrzane odbicie ojca. Poprawił przekrzywioną jarmułkę i odparł z wyrzutem:

– Tate, ja o interes dbam. Toż ja nie leżę, ja mąkę mieszam w kantorku!

Herszel skrzywił się niemiłosiernie i warknął:

– Ty zostaw mąkę i idź z tym obdartusem na targ – ruchem głowy wskazał na moją osobę. – Wózek Jachimowi dasz – powiedział, po czym obrócił się na pięcie i odszedł w głąb sklepu.

Syn kupca spojrzał na mnie krzywo, otrzepał resztki mąki z koszuli i rzekł:

² Hershel aun zun – Herszel i syn (hebrajski)

³ szajgec – nieżydowski chłopak (hebrajski)

– Chodź, pójdziemy z tym wózkiem. Stary dzisiaj jakiś gderliwy. Lepiej zejść mu z oczu.

Gdy dotarliśmy do Jachima, ten cały spocony tłumaczył chłopu:

– Ja mogę dać najwyżej 50 kopiejek. Nu, pan dziedzic przybije rękę, geszeft dobry zrobimy.

Ogłupiały chłop dobił targu. Handlarz otrzepał przybrudzony aniełz i wysupłał z kieszeni wypchany portfel. Zaczął z namaszczaniem odliczać banknoty.

– Nu, tośmy dobry interes zrobili, będziecie zadowoleni. Lepszej ceny w całym Staszowie, co ja mówię, w całej guberni by dziedzic nie dostał. Teraz to pan jesteś prawdziwy puryc⁴!

Żyd zwrócił się do mnie:

– Chłopak, ty załaduj ten kram na wózek. Zaciągniesz to do składu.

Robota ciężka – pomyślałem – może Jachim forszy nie pożałuje.

Rozejrzałem się, ale młody Herszel zniknął w tłumie. Cóż, więcej dla mnie. Westchnąłem i chwyciłem pierwszy z brzegu worek. Gdy przeładowałem wszystkie, byłem nieźle zmęczony. Zdjąłem marynarkę i z trudem rozprostowałem obolałe plecy. Gospodarz widząc, że praca dobiegła końca, chwycił lejce i bez wchodzenia na kozioł zaciął konie. Znienacka przed wóz wtoczył się pijany obszarpaniec. Woźnica ściągnął lejce, zatrzymując furmankę. Konie parsknęły i gwałtownie szarpnęły. W tej samej chwili z tłumy wyłoniła się postać. Nijak ubrany, nierzucający się w oczy, szczupły mężczyzna szybkim ruchem sięgnął do kieszeni chłopca i wyjął mu pularys. Nim zdążył odejść, ktoś mocno

⁴ puryc – bogacz (hebrajski)

trącił go w bark. Złodziej stracił równowagę i wypuścił trzymany w dwu palcach piter. Fant upadł tuż obok mnie. Właściwie nie wiem do dziś, dlaczego upuściłem na ziemię marynarkę, przykrywając łup. Jak gdyby nigdy nic, podniosłem kapotę i położyłem na załadowanym wózku. Z drugiej strony pojawił się obdartus, który niemalże wpadł pod zaprzęg. Zatoczył się i ciężko oparł o worki. Wyjął z kieszeni krótką fajkę i rzucił w kierunku złodzieja:

– Panie ładny, macie ognia?

Ten podszedł do obdartusa i podał mu pudełko zapalek. Minęło kilka chwil, zanim pijaczek odpalił stambułkę⁵. Zaciągnął się głęboko i ze skinieniem głowy oddał zapalki.

– Młody, gęba na kłódkę – szepnął złodziej, znikając w tłumie.

Oszołomiony chwyciłem za marynarkę, ale pod nią nie było nic. Nie zauważyłem, który z nich zabrał fant.

Złapałem za krótki dyszel wózka i przełożyłem uprzęż przez ramię. Z trudem ruszyłem z miejsca. Jednak zaprząłem się do tej dryndy – pomyślałem.

Żydzi czekali na mnie niecierpliwie przy swoim kantorze.

– Zaprowadź do składziku – powiedział Jachim, rzucając mi monetę.

Zmęczony, lecz bogatszy o pół rubla wróciłem na rynek. Poszedłem w kierunku koszernych kramów, gdzie często było łatwiej zarobić jakąś kopiejkę.

W tłumie dostrzegłem miejscowego rabina. Zamyślony przekładał między palcami cyces⁶. Wyjął z kieszonki srebrny zegarek i nacisnął sprężynę. Nie zauważył, że dewizka

⁵ stambułka – krótka fajka produkowana w Staszowie na przełomie XIX i XX wieku (gwara)

⁶ cyces – frędzle plecione z nitek i przymocowywane w czterech rogach tałesu (hebrajski)

wypięła mu się z dziurki przy kamizelce. Gdy włożył zegarek do karmana ⁷, łańcuszek opadając w dół, wyciągnął chronometr, który upadł mi wprost pod nogi.

Rozejrzałem się wokół, schyliłem się szybko i podniosłem sikor⁸. Rabin, który kątem oka dostrzegł mój manewr, stanął jak wryty i wskazując mnie palcem, krzyknął:

– Ganew! Oj Gwałt! Ganew!

Nie poczułem pierwszych uderzeń. Kułaki posypały się zewsząd. Ktoś wymierzył mi sążnistego kopa i upadłem na ziemię. Osłaniałem głowę ramionami, lecz ciosy wyciskały mi dech z piersi. Któryś z bijących z impetem nadepnął mi na dłoń. Poczulem, jak żwir i kamienie tną mi skórę. Krzyknąłem z bólu.

Cudem udało mi się przetoczyć pod pobliską furmankę. Wyłoniłem się po drugiej stronie wozu i chwiejnie wstałem na nogi. Szumiało mi w głowie, lecz nie marnowałem czasu. Ruszyłem ciężkim krokiem przed siebie, wpadłem między ludzi i wtopiłem się w tłum. Gdy wydostałem się z rynku, pobiegłem Opatowską.

Przez jakiś czas kluczyłem po mieście. Zatrzymałem się dopiero przy koszarach.

Z trudem rozprostowałem poranioną dłoń. Spojrzałem na zegarek. Niezła sztuka – pomyślałem. – Wart paru sińców.

Doprowadziłem do porządku garderobę, zmyłem krew i błoto z twarzy. Powoli ruszyłem w stronę młyna, gdzie często po skończonym dniu spotykałem się z chłopakami. Ćmiąc skręty, chwaliliśmy się zarobkiem i fantami, które udało się nam zdobyć.

⁷ karman – kieszeń (rosyjski)

⁸ sikor – zegarek (gwara)

Obolały i posiniaczony, dumnie przeżyłem się przed kolegami.

– Panowie granda, patrzcie na to! – Zawołałem chełpliwie. – Kto dzisiaj miał lepszy dzień?

Odchyliłem połę marynarki, a promienie słońca zabłyśły srebrzystym refleksiem na zegarku. Towarzystwo westchnęło z wrażenia. Sikor prezentował się znakomicie.

– Heniek, normalnie jak hrabia jakiś wyglądasz! – Rzucił ze śmiechem Antek, pomocnik rzeźnika.

– Hrabia de Nędza, co w nicowanym fraku chodzi – parsknął zazdrośnie inny.

– Nie znacie się, żal wam dupy ściska i tyle – powiedziałem obrażony i ruszyłem w stronę domu.

– Te, Hrabia, co się ciskasz?! – Krzyknął za mną Antek. – Chodź, bimberk doprowadziłem Skalickiemu. Na wiorstę koszerłą kiełbasą wianasz, będzie do zagryzki. Dla każdego starczy.

– Nie dzisiaj, robotę mam jeszcze – skłamałem.

Wróciłem do domu. Z izby dochodziło głośnie chrapanie ojca. Znów pijany, pomyślałem ze smutkiem. Po chwili wahania ruszyłem do stajni, zostawiając za sobą ciemną sień.

Konie przywitały mnie cichym parskaniem. Pogłaskałem Gniadego po łbie i poklepałem klaczkę po szyi.

Usiadłem na snopku słomy i z lubością chłonałem zapach siana.

Powiesiłem zegarek na drabince żłobu. Nacisnąłem przycisk i wieczko odskoczyło, ukazując werk z wygrawerowaną gwiazdą Dawida. W zamyśleniu patrzyłem na cyferblat, wspominając dzisiejsze wydarzenia. Rabin, oszukany przez Żydów chłop i dwa karmanniki przewijali się przed oczami mojej wyobraźni. Nagle spojrzałem na obolałą, poranioną dłoń i wezbrał we mnie gniew. Dlaczego ja mam

się sprzedawać za parę kopiejek? Nie muszę przecież całe życie włączyć się po targu i czekać, aż po ojcu konie przejmę. Zarobię inaczej, poznam ludzi, będę handlował albo kradł.

– Hrabia – syknąłem pod nosem i dodałem ze złością: – Też świńskie pępy wymyśliły!

Nie wiedziałem, że ten przydomek przylgnie do mnie na całe życie...

W tym dniu narodził się Hrabia.

II

Przez kilka następnych dni unikałem rynku. Bałem się, że ktoś mnie rozpozna, złapie i odstawi do cyrkułu. Skradziony zegarek zdawał się przepalać kieszeń. Ilekroć wziąłem go do ręki, przed oczyma stawał mi okradziony rabin.

Bez celu kręciłem się po obejściu. Dla zabicia czasu uporządkowałem izby i stajnię. Ojciec wcześniej wrócił z tartaku. Stałem oparty o wrota stajni, gdy wjechał na podwórze. Tego dnia był wyjątkowo trzeźwy i ogolony. Zeskoczył z wozu, omiół wzrokiem po obejściu i uśmiechnął się. Podniósł dłoń w geście powitania i rzucił mi lejce.

– Chodź Heniu, oporzędzimy konie, będzie szybciej. Wędliny przyniosłem, kolację dobrą zjemy.

Ostatnimi czasy rzadko widywałem go w dobrym nastoju.

Odpieliśmy konie od zaprzęgu i weszliśmy do stajni.

Zająłem się Gniadym.

Spokojny, o mądrym spojrzeniu, cicho zarżał, gdy zacząłem go czyścić wiechciem słomy. Z kosza stojącego obok drzwi wyjąłem jabłko. Przelamałem na pół i podałem koniom. Ojciec od dłuższej chwili stał oparty o żłób i przyglądał się, jak pracuję.

– Pamiętałeś – powiedział zniechęca. – Widzę, że wysprzątałeś obejście. Dziękuję ci synu.

Spojrzałem zdziwiony na ojca. Dzielił nas niski płotek odgradzający boksy. Starszy wyciągnął ręce w zapraszającym geście. Coraz bardziej zdumiony podszedłem do niego. Przez chwilę patrzył mi głęboko w oczy, po czym wziął mnie w ramiona i mocno przytulił.

– Pamiętałeś synu... – powiedział smutno. – To już dziesięć lat jak mnie, jak nas, Aniela opuściła. Dziesięć lat,

co do dnia. Gdy zobaczyłem podwórze, czyste, bez źdźbła słomy, graty poustawiane i otwarte okiennice serce mi zamarło. Zdawało mi się, że za chwilę Anielka na progu stanie, oczy ręką przesłoni i z uśmiechem pomacha mi na powitanie.

Ojciec głośno przełknął ślinę, wyprostował się i ukradkiem otarł kułakiem łzy.

– Zaniesiemy matce kwiaty, ona tak je lubiła – westchnął.

Doskonale pamiętam dzień, w którym przez Staszów przeszła burza. To była prawdziwa nawałnica. Bawiłem się na podwórzu, gdy zerwały się pierwsze gwałtowne podmuchy wiatru. Przez nieboskłon przetoczył się głuchy, ponury grzmot. Matka wybiegła z domu i chwyciła mnie w ramiona. Gdy schroniliśmy się w ganku, usłyszałem bębnienie gradu. Czerń burzy rozjaśniały błyskawice, a huk piorunów zdawał się nie kończyć. Przerazona wystawiła do okna gromnicę. Modliła się głośno o ocalenie przed żywiołem i o szczęśliwy powrót ojca do domu.

Burza ucichła równie nagle, jak się rozpuściła. Zalekniony, trzymając mamę za rękę, wyszedłem z nią na podwórze. Nad horyzontem lśniła kolorowa tęcza. Stałem i wpatrywałem się w nią oczarowanym wzrokiem.

– Mamo, co to? – Spytałem.

– Tęcza, synku – odpowiedziała z uśmiechem.

– Ja chcę! Ja chcę tęczę! – Zawołałem i ruszyłem biegiem przez podwórze.

– Henio, głuptasie, wróć! Nie można złapać tęczy.

Pamiętam, jak kałuże pozostałe po deszczu rozbryzgiwały się pod moimi stopami. Odwróciłem się, słysząc śmiech mamy. Stała na ganku z wyciągniętymi rękoma.

– Chodź tu do mnie brudasie – zaśmiała się.

Dobiegłem do niej i zawróciłem gwałtownie.

– Ja chcę! Ja chcę tęczę! – Krzyczałem, pędząc w stronę bramy.

Biegałem tak, aż całkowicie opadłem z sił. Mama, siedząc na ławeczce obok drzwi, zaśmiewała się do łez. Taka została w moich wspomnieniach.

Za nic nie przyznałbym się, że nie pamiętałem o rocznicy. W oczach ojca widziałem, jak bardzo za nią tęsknił. Na co dzień, gdy wracał podchmielony bądź pijany w sztok, nie był skory do rozmów. Mrukliwy i zamknięty w sobie szedł spać.

– Do Szydłowej skoczę, kwiatów przyniosę – powiedziałem, przerywając ciszę.

Ojciec wysupłał monety z kieszeni.

– Masz parę kopiejek, zapłać jej i niech ci gęby miotłą nie podrapie. Jakbyś się wtedy matce pokazał?

Niespiesznie wracaliśmy z cmentarza. Zatrzymałem się przed witryną sklepu kolonialnego. Zdobiły ją słoje karmelków, barwne tabliczki czekolady oraz kilka niewielkich puszek o obłym kształcie. W centralnym punkcie stała emaliowana tablica, na której prężył muskuły atleta zmagający się z lwem. „Żorż Borman kakao”, nieskładnie przeczytałem bukwy.

– Ciekawe, jak to cholerstwo smakuje – mruknąłem pod nosem.

Całości dopełniały kartoniki papierosów Popowa. Stojący za mną ojciec przeczesał mi palcami czuprynę i powiedział:

– Za spokój duszy matki, zamiast wódki coś dobrego wezmę. Pokażę ci, co lubiła. Może przez to, będzie dzisiaj bliżej nas?

Było już ciemno, gdy wróciliśmy do domu. Starszy zapalił lampę i z namaszczeniem zaczął wyciągać wiktuały na stół.

– Moja Aniela lubiła herbatę. Jest taki specjalny gatunek, gdzieś z Krakowa go sprowadzają. „Herbata z wieżą” się nazywa – tłumaczył. – Często ją kupowaliśmy. Droga, ale zapamiętaj Heniek, jak się naprawdę kocha, pieniądze się nie liczą.

Na stole zagościły dwie tabliczki czekolady i torebka karmelków. Zdumiony patrzyłem na coraz to nowe skarby wyłaniające się z sumki.

– Te łakocie to od Wedla z Warszawy. W sklepie nad ladą wisiała reklama tych bombonów. Wierszem była napisana – powiedział, po czym w zamyśleniu zmrużył oczy. Przez chwilę szeptał coś pod nosem i nagle z uśmiechem wyrecytował nienaturalnie grubym głosem: – Zupełnie nowy i szczególny utwór cukierniczy, a nade wszystko wyborny środek leczniczy i łagodzący wszelkie cierpienia piersiowe, nader skuteczny na słabości te w miesiącach wiosennych, a nawet dla nie cierpiących i zwolenników delikatnego smaku – bardzo przyjemny wyrób.

Roześmialiśmy się.

Ojciec zaparzył herbatę i przyniósł ze spiżarni kiełbasę oraz chleb.

– Jedzmy – powiedział. – Łakocie na deser zostawimy. Niestety największego przysmaku twojej matki teraz nie dostaniemy. Ona przepadała za truskawkami. Czasem, mówiłem do niej „truskaweczko” – to miłe wspomnienie rozjaśniło mu twarz.

Siedzieliśmy do późna w nocy. Ojciec otworzył się przede mną. Mówił o tym, jak z mamą żyli. Wsparł czoło dłonią i opowiadał cichym głosem:

– Ty wiesz Heniu, że ja o Anielę to się biłem. Oj miałem wtedy mojra⁹. Chłop był wielki, jak nie przymierzając Goliat. Kowal, cholera mu w bok. Grzegorz mu na imię było. Wybraliśmy się raz do Kurozwek na tańce, ale jeszcze nie byliśmy po słowie i twoja mama mogła wtedy wybrać każdego. Ten kowal od dawna zęby do niej suszył. Podszedł do nas, gdy tańczyliśmy. Pijany był. Szarpnął mnie za ramię i powiedział: „Teraz ja potańczę!”. Był ode mnie o głowę wyższy. Strzeliłem go z byka, aż klęknął i wtedy się zaczęło. Wytoczyliśmy się przed karczmę, ten jucha żebro mi złamał. Dotąd mnie kłuje w boku – powiedział i pomacał się po wątrobie. – Kiepsko ze mną było, farba mi ślepią zalała. Cudem w dołek go trafiłem. Dech stracił i na klepisko padł. Już na niego miałem skoczyć, ale Anielka dobiegła i stanęła między nami. „Chodź Brożek, nic tu po nas”, tak właśnie powiedziała. Później wyjęła chustkę i otarła mi krew z czoła, a ja zrozumiałem, że jesteśmy sobie pisani.

– Co z kowalem? – Spytałem przejęty.

– Odpuścił. – Ojciec się uśmiechnął. – Za czas jakiś wyjechał ze Staszowa. Ziemię jakąś w schedzie dostał.

Nagle spowaźniał, łzy stanęły mu w oczach. Milczał przez kilka minut, aż wreszcie rzekł przygnębionym głosem:

– Zgasła moja Anielka jak zdmuchnięta świeca. Dwa dni. Nikt i nic nie mogło jej pomóc. Synu, ja myślałem, że zmysły stracę. Gdyby nie Szczepan, nie byłoby mnie na tym padole. To on mnie ze stryka zdjął.

– Dzieciaka masz, brat! – tak mi wtedy powiedział. – Żona odeszła, dla syna żyj.

Ojciec odchylił się na krześle, spojrział smutno przez okno i dodał:

⁹ mojra – strach (gwara)

– I żyję Heniek, ale co to za życie. Ja bez niej nie mogę. Wódka nie pomaga. Teraz to już i przestać nie potrafię. Bóg da, spotkam moją Anielkę na drugim świecie. W oczy spojrzę głęboko, ona krew mi obetrze i z uśmiechem szepnie: – Chodź Brożek, nic tu po nas...

III

– Tylko pamiętaj, kłaniaj się Kalecie nisko i poproś, żeby zelówki w trzech miarach z tego zrobił. On już wie, jakie ma dociąć. Będę u niego wieczorem, to odbiorę.

Szewc w poniedziałek zawsze pijany – pomyślałem, uśmiechając się promiennie i dodałem w duchu. – Na pewno ci zrobi.

– Odniosę na jednej nodze, toż klienta stałego zawieść nie mogę! Pan, panie Żarski, najlepiej za usługę płaci. Zaraz widać, że remiecha przedni – rzekłem, a Żarski w tym samym momencie szturchnął mnie przyjacielsko i powiedział: – Udałeś się Ambrożemu, masz tu za drogę i znikaj.

Mocniej ścisnąłem paczkę ze skórą i ruszyłem przez targ.

– Heniek, gdzieś ty się podziewał? – Młody Herszel złapał mnie za ramię. – Zajrzyj do nas po robocie, ojciec ma do ciebie słowo.

Wieczorem, niepewnie zapukałem w zamknięte okiennice kantorka.

Drzwi uchyliły się nieznacznie.

W szparze ukazała się twarz Herszela seniora.

– No, szajgic, wreszcie jesteś. Następnym razem nie pchaj się do interesu, jak zamknięty. Od podwórka wejdź – Mruknął i otworzył drzwi szerzej.

Wszedłem do ciemnego pomieszczenia.

Herszel wystawił głowę na zewnątrz i rozejrzał się uważnie.

– To nie wie, że od podwórza się wchodzi, szmendrik jeden – sapnął. – Czekaj na mnie, interes zamknąć muszę.

Poprowadził mnie wąskim korytarzem na zaplecze. Wokół stały przeróżne skrzynie i worki z towarem. Z jednej wystawał kupon bawełny.

To i suknem się tu handluje – przemknęło mi przez myśl.

– Wejdz tu chłopak – powiedział Żyd, wpychając mnie do izby. – Ludzie chcą z tobą mówić.

Stałem zdezorientowany w progu. W mrocznej izbie, przy zastawionym stole siedziało dwóch mężczyzn. Ich twarze kryły się w półmroku. Przed nimi, wśród szklanek i zakąsek piętrzył się stosik srebrnych rubli.

– Ty re, ja kontra! – Zawołał się jeden z nich, rzucając kartę na stół. – Spróbuj Maniuś przebić sztycha.

– Dzwonca dycha bije sztycha! – Zarechotał drugi mężczyzna. – Panie Tabakiera, znów pan przepułał.

Wszedłem nieśmiało do pokoju.

Odłożyli karty i spojrzeli w moją stronę.

– Poznajesz nas? – Zapytał ten, na którego mówili Tabakiera.

W jednej chwili spaśowałem i instynktownie cofnąłem się o krok. Miałem przed sobą złodziei, którzy przed kilku dniami okradli przy mnie kmiotka.

– Chyba tak, bo próbuje zwać – parsknął śmiechem ten nazywany Mańkiem. – Rozsądny chłopak!

– Ja nie chciałem, ja ten pularys – zacząłem dukać – kapotę to rzuciłem... Bo ja ją rzuciłem, żeby leżała... Ja nie chciałem dla siebie...

Przez głowę przebiegały mi setki myśli. Czego ode mnie chcą? Co ze mną zrobią? Diabli mnie podkusili, żeby marynarkę wtedy rzucić.

– Ja pomoc chciałem! – Krzyknąłem spanikowany.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Wyższy z nich wzruszył ramionami i uśmiechnął się do mnie.

– Skoro chciałeś pomóc, należą się podziękowania. Jakbyś tej kapoty nie rzucił, różnie by mogło być. Pierwszy raz szmokt¹⁰ mi z ręki wypadł – powiedział poważnie. – Siadaj młody, porozmawiamy.

– Ty się po targu kręcisz, widzimy cię często – dodał Maniek. – Chcesz inaczej zarabiać? Z noszenia paczek nawet na kieliszek chleba nie zarobisz.

Oszołomiony skinąłem głową.

– Chciałbym – wykrztusiłem przez zaschnięte gardło. Czuję, jak rumieniec oblewa moje policzki.

– Rozmawialiśmy z Herszelem – odezwał się Tabakiera, któremu było na imię Leon, ale o tym dowiedziałem się jakiś czas później. – Obiecał wziąć cię na próbę do siebie. Dalej możesz się pętać po targu, ale niech cię ręka Boska broni robić takie numery jak z zegarkiem rabina! – Podniósł głos, a ja poczułem, że dla odmiany błędę. – Będziesz gońcem w kantorze. Robota podobna jak na targu, tylko lepiej płatna. Jak się sprawisz i ludzie będą z ciebie zadowoleni, pomyślimy, co dalej z tobą robić. Uprowadzam jednak – pogroził mi palcem – że choćbyś trupem padł, paczki nikomu, poza adresatem nie możesz oddać. Odnosisz tam, gdzie ci każą i wracasz. W razie poruty, gęba w ceber!

– Marny twój los, jak zajrzysz do środka, a jeszcze gorszy, jak zgubisz – wtrącił z uśmiechem na ustach Maniek.

– Bastuj Maniek, bo nam konika spłoszysz – zaśmiał się Tabakiera.

– Ja bym chciał tak, jak panowie mówicie – odezwałem się onieśmielony – na termin do Herszela.

– W takim razie przyjdź jutro z rana do kantoru, z właścicielem obgadane – powiedział Leon, przesuając w moją stronę dwie srebrne pięciorubłówki. – To doła z frajera.

¹⁰ szmokty – przedmioty pochodzące z kradzieży (gwara)

Na fart, niech ci się koca! Teraz spadaj młody, muszę się u Mańka odegrać.

Od kilku miesięcy pracowałem dla Herszela. Powodziło mi się lepiej niż na targu. Nie było to ciężkie zajęcie. Zamiatalem kantor, porządkowałem podwórze, dbałem o to, by było czysto i schludnie. Właściciel uczył mnie podstaw handlu. Dobry był z niego belfer, ze mnie zaś pojętny uczeń. Po pewnym czasie, gdy nabrał do mnie zaufania, wtajemniczył mnie w część swoich interesów. Tak jak podejrzewałem, mój pryncypał był paserem. Nie gardził kradzionym towarem. Skupował wszelkie fanty, które upłynniał dalej. Płacił lepiej niż inni szmokciarze. Na swój sposób był uczciwy. Spędzając większość czasu u Herszela, poznałem wielu ludzi ze staszowskiego półświatka. Poczynając od prostych i pogardzanych piechociarzy¹¹, którzy kradli drób z podwórek, aż po fachowych włamywaczy, którzy na byle robotę nie szli. Wszelkiej maści lipkarze¹², klawisznicy czy pajęczarze znosili do kantoru łupy, które szły dalej w świat. Zaprzyjaźniłem się z synem kupca. Spędzaliśmy ze sobą całe dnie. To on opowiadał mi o typkach, którzy przychodzili do kantoru. Wyjaśniał, co każdy z nich robi. Uczył złodziejskiej gwary. Przy nim poznałem jidysz. Potrafiłem zrozumieć, o czym prawią starozakonni odwiedzający kantor.

Mówili o sobie chewra¹³. Razem pracowali i dzielili się zyskiem. Mieszkali w podupadłej chałupie w Rytwianach. Żyli z doliny¹⁴, kart, czasem klawisza¹⁵ czy pasówki¹⁶. Leon

¹¹ piechociarz – złodziej kradnący drób z podwórzy (gwara)

¹² lipkarz – złodziej który wchodzi przez okno (gwara)

¹³ chewra – grupa przestępcza (gwara)

¹⁴ żyć z doliny – zarabiać na życie dokonując kieszonkowych kradzieży (gwara)

¹⁵ klawisz – włamanie za pomocą wytrychów (gwara)

¹⁶ pasówka – dorobiony klucz (gwara)

Tabakiera był karmannikiem, wirtuozem w swoim fachu. Średniego wzrostu, szczupły i zawsze schludny. Na co dzień ubierał się niczym skromny urzędnik. Znoszone, lecz dobrego gatunku ubranie, melonik i laseczka czyniły go niewidocznym. Dziesiątki i setki mężczyzn podobnych jemu przemierzało codziennie gubernię. Gdy wychodził na skok, zmieniał się nie do poznania. Ubierał się stosownie do miejsca i sytuacji. Przebrany za wiejskiego kmiota, utyłany w błocie i rękami czarnymi od ziemi, wyglądał niczym gospodarz z okolicznych wsi. Innym razem, gdy pracował w mieście, potrafił przedzierzgnąć się w robotnika, bogatego gentlemana, czy właściciela sklepu. Bystro obserwował otoczenie. Oceniał ludzi niczym wytrawny psycholog. Niezwykle rzadko mylił się w swej kalkulacji. Niemal każdy jego strzał był fartowny. Potrafił skroić najtrudniejszą dolinę¹⁷, wyciągnąć fanty z karmana tak delikatnie, że dolator dowiadywał się o tym długo po fakcie. Najczęściej był przekonany, że zgubił portfel, nie podejrzewał kradzieży. To czyniło Leona bezpiecznym. Nie było zgłoszenia do cyrkułu, nie było kradzieży. Gardził ostrzem i mojką.

– To dobre dla początkujących – mawiał często.

Nigdy nie pracował sam. Do obstawy przy robocie miał zaufanego tycera. Człowieka, który robił parawan podczas kradzieży. Pomocnik zawsze miał coś w ręku: marynarkę, gazetę, bądź zwykłą torbę. Zasłaniał doliniarza¹⁸ przed wszędobylskim wzrokiem tłumu i odbierał fant.

Kieszonkowcy najczęściej pracowali w trójkach. Doliniarz, tycter i konik. Konikiem zostawał młody chłopak, zwykle sierota lub uciekinier z domu.

¹⁷ dolina – kieszeń (gwara)

¹⁸ doliniarz – złodziej kieszonkowy (gwara)

Konik wynosił towar, który dostawał od tycera. Wyrzucał pularys i zbędne papiery. Łup trzymał przy sobie, bądź w umówionej skrytce.

Maniek, z którym Tabakiera pracował, od lat nie robił doliny. Twierdził, że to nie na jego nerwy. Wyższy od Tabakiera i mocno zbudowany zdawał się być niezgrabnym. Chodził na klawisz. Zamki i kłódki nie miały przed nim tajemnic. Kiedyś, mocno podchmielony powiedział, że potrafi otworzyć każdy zamek i pietrówkę¹⁹. Nie chce tylko otwierać jednego.

– Którego? – Spytałem zaciekawiony.

– Tego od więziennej bramy. – Uśmiechnął się ironicznie.

– To ty już sam nie robisz tylko za tycera chodzisz? – Spytałem

– Znajdź Heniek jakąś dobrą chawirę, to pogadamy – zarechotał.

Największą pasją Mańka były jednak karty. Potrafił ograć każdego. Nie miał sobie równych. Tasując, potrafił ułożyć obrazki tak, by zawsze wygrać.

Polubiłem ich od pierwszego spotkania u Herszela. Kręciłem się tak, żeby być w kantorze, gdy oni przychodzą po robocie.

Zapadał zmierzch i pustoszały gwarne do tej pory ulice. Szybkim krokiem podążałem w stronę kantoru. Jeden z szemranych znajomych Herszela zdołał gdzieś większą partię machorki. Szmokciarz kupił od niego towar na pniu. Od rana roznosiłem paczki z tytoniem do klientów. Głodny i zmęczony przyspieszyłem kroku. Z bramy domu wyskoczył z głośnym sykiem spłoszony kot.

¹⁹ pietrówka – kłódka (gwara)

Tfu, cholera... Czarny! Przystanąłem, by splunąć przez ramię.

Zza przymkniętej furty dobiegł mnie szmer rozmowy.

Wyteżyłem słuch.

– Są panie przodownika u Herszela. Siedzą od podwórza, ja ich widziałem jak tam szli we trzech. To jakieś znaczne wory musiały być, bo jeden z nich z pańska się nosił, niczym bogacz jakiś, albo dziedzic nie przymierzając. Oni mu szmokty znoszą. To chytra żydowina panie naczelniku. Ludzi okrada i z żulikami trzyma. Wódkę z nimi pije i szynkę żre. Tfu, obraza! Wstyd przynosi dla wszystkich. Koszerny Żyd taki chazer²⁰ do ust nigdy nie weźmie.

Przytuliłem się do ściany domu, wstrzymując oddech. Nie chciałem uronić żadnego słowa.

– Słuchaj Lejzor, jak ty mi farmazon wciskasz, to lepiej od razu sobie ciepłe gacie załóż. O tej porze w celi chłodno. Szkoda by było, jakbyś sobie wszy przeziębził.

– Jak Boga Kocham panie przodownika. Siedzą tam i chleją.

Ja podprowadzę i pokażę, w którą bramę.

Ruszyłem pędem, by przestrzec chęwę.

Wpadłem na podwórze. Przez zamknięte okiennice składu dobiegały odgłosy libacji. Wskoczyłem do sieni i gwałtownie otworzyłem drzwi. Przy stole siedzieli Leon i Maniek w towarzystwie jakiegoś bogato ubranego kupca.

Maniek drgnął nerwowo. Leon spojrział na mnie złym wzrokiem i warknął:

– Pukaj, bo cię ktoś niechcący przetrąci.

– Panowie, poruta! Przodownik idzie do kantoru! Ktoś go napuścił, wszystko słyszałem!

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

²⁰ chazer – nie koszerna potrawa (hebrajski)

– Chodu! – Syknął kupiec.

Szybko poderwali się od stołu i wybiegli na podwórze. Herszel zdmuchnął płomień lampy i odstawił ją na parapet, otwierając na oścież okiennice. Pokój spowił półmrok. Paser złapał za rogi obrus i wraz ze stojącą na stole zastawą zwinął go w okazały pakunek.

– Wyrzuć to Heniek, tylko daleko od kantoru – szepnął.

Wybiegłem z domu i wspiałem się na popielnik przylegający do parkanu. Przeskoczywszy na sąsiednią posesję, usłyszałem stukot podkutyh buciorów. Skuliłem się i zerknąłem przez szparę w płocie. Na podwórze wbiegli żandarmi w towarzystwie przodownika.

Zamiatałem ulicę przed kantorem. Zza rogu kamienicy, od strony rynku wyszedł Tabakiera w towarzystwie Mańka.

Podeszli do mnie.

Leon klepnął mnie w plecy i wesoło powiedział:

– Wyprostuj się Heniek, garbisz się przy tym kij, jak nie przymierzając stara baba.

Dla żartu stanąłem na baczność, trzymając w wyciągniętych rękach miotłę.

– Spocznij! – Zawołał Maniek ze śmiechem, wchodząc wraz z Leonem do kantoru.

Po chwili kupiec krzyknął z głębi sklepu:

– Heniek, chodź od zaplecza!

Leon siedział na niskiej ławeczce, a Maniek i Herszel szeptali o czymś, stojąc nieopodal.

– Młody – powiedział Tabakiera – dobrze się wczoraj spisałeś. Gdyby nie ty, zasypalibyśmy się niezgorzej. My, co prawda, czyści jak łąza, ale nasz przyjaciel byłby niemożliwie przegrany. To od niego, za bystrość. – Pstryknął w moją stronę monetą.

Złapałem ją w locie, otworzyłem dłoń i oniemiałem z wrażenia.

– Imperiał! Dla mnie? – Spytałem, obracając zdobycz w palcach.

– Dla ciebie, boś bystry. Możesz go zatrzymać pod jednym warunkiem. Nie pozwolisz mi, bym odebrał ci monetę.

Spojrzałem z niedowierzaniem na Leona. Ten uśmiechnął się i kontynuował:

– Wyciągnij rękę przed siebie i połóż świnkę na wyprostowanej dłoni. Jeśli zdążysz zacisnąć kułak, zanim zdmuchnę monetę, jest twoja. Wchodzisz w to?

– Wchodzę! – Rzuciłem i wyciągnąłem przed siebie dłoń z monetą.

– Gotowy? – Spytał Maniek, który przerwał rozmowę z Herszelem i z ciekawością się nam przyglądał.

– Gotowy! – Odparłem podekscytowanym głosem.

– Powiedz, kiedy zaczynamy – rzekł Leon, wpatrując się we mnie.

– Teraz! – Krzyknąłem, zaciskając pięść.

Maniek i Herszel zaśmiali się, patrząc na Tabakierę, który z triumfalnym uśmiechem trzymał w palcach monetę. Otworzyłem dłoń i aż sapnąłem z wrażenia. Była pusta.

– Zatrzymaj forszę. To prezent od Paczenki, uratowałaś mu wczoraj skórę. – uśmiechnął się, oddając mi dziesiątaka.

– Chcesz być taki szybki? – Zapytał Maniek.

– Chcę – skinąłem głową.

Leon wyciągnął z kieszeni marynarki srebrny zegarek. Poznałem swoją własność. Z niedowierzaniem pomacałem kieszeń w marynarce. Była pusta. Niemożliwe, żeby mi go wyjął.

Nie zza parkanu!

– Wiesz, kiedy go straciłeś? – Zapytał.

Po raz kolejny przecząco pokręciłem głową.

– Chcesz tak umieć? Karmannyj wor to nie zwykły potokarz²¹, co koniowi obiad kradnie. To trudna szkoła. Nie każdy poradzi – powiedział poważnym głosem patrząc mi prosto w oczy.

– Chcę, naucz mnie proszę, jak się robi dolinę – wykrztusiłem przez zaschnięte gardło. – Dam radę.

– W takim razie jutro ze świtaniem przyjdź do nas do Rytwian. Zobaczymy czy się nadajesz – odparł. – Masz swój sikor, następnym razem bardziej go pilnuj – dodał, podając mi zegarek. – Nie zaśpij Hrabio, widzimy się jutro ze świtaniem.

Wtedy po raz pierwszy Leon Tabakiera, mistrz doliny, zwrócił się do mnie ksywą.

²¹ potokarz – złodziej kradnący z przejeżdżających wozów (gwara)

IV

– W Rytwianach, niedaleko ruin nas szukaj. Bądź wcześniej – powiedział Leon. – Dom poznasz, na przysiółku stoi, prawie za wsią.

– Tylko nie za wcześniej – wtrącił Maniek – bo pospać lubię, a jak mnie kto przed pierwszym kurem budzi, cały dzień chodzę jak kisły.

Popatrzyłem zdezorientowany na Leona, ale on tylko wzruszył ramionami.

– Widzimy się jutro z samego rana, a ty Maniek zbieraj się, bo geszefta czekają.

Mężczyzna wstał od stołu, pstryknął palcami w krótki daszek kaszkietu i z uśmiechem powiedział:

– Tylko nie za wcześniej Heniek. Pamiętaj!

Smętnie pokiwałem głową.

– Będę na czas – odparłem.

Siedzący naprzeciw mnie Herszel młodszy zarżał radośnie.

– To masz zagwozdkę. Wcześniej ale nie za wcześniej. Jak będziesz grzeczny i przyznasz, że jestem najlepszy styrocznik²² w mieście, to ci pomogę.

– Słuchaj, świński pępie – fuknąłem zirytowany – potrafisz pomóc, to pomagaj.

Herszel stuknął zgiętym palcem w talię kart trzymaną w dłoni i znacząco poruszył brwiami. Pokręciłem głową i westchnąłem ciężko.

– Dobieram, daj jeszcze jedną.

Kandydat na króla styroczników wyjął kartę ze spodu talii i podał mi z uśmiechem. Spojrzałem na figury i rzuciłem

²² styrocznik – karciarz, szuler (gwara)

obrazki na stół. Westchnąłem ciężko i z krzywym uśmiechem na ustach powiedziałem:

– Fura, wygrałeś. Pan Herszel to najlepszy karciarz w Staszowie.

Rozpromieniony Herszel wstał bez słowa od stołu. Wrócił po chwili, niosąc w przetłuszczonym pergaminie obły przedmiot. Z dumną miną położył na stole pakunek i wskazując na niego dłonią, spytał:

– No? Co teraz powiesz? Kto ci pomoże jak nie ja?

Zdumiony patrzyłem na pakunek.

– Toś mi chłopie pomógł – powiedziałem. – Co to za fajnas przytargałeś? Dostarczyć mam komuś?

– Mańkowi – wyszczerzył się. – To kaszanka przednia, dołożyłem do niej kawał wędzonki. Stary nie zbiednieje, a Oczko pokocha cię jak syna. On za ten chazer w ogień skoczy.

Pierwsze promienie słońca kładły się ciepłymi refleksami na rytwiańskich stawach. Stałem niezdecydowany na grobli. Plusnęła ryba, a zaraz potem po gładkiej tafli wody rozeszły się kształtne kręgi.

Skoro karpie żreją, to i Maniek może już zgłodniał – szepnąłem w duchu.

Poprawiłem przetłuszczoną sumkę, do której włożyłem wiktuały i ruszyłem naprzeciw przeznaczeniu.

Dom, w którym mieszkał Leon, łatwo było poznać. Tabakiera nie był wzorowym gospodarzem. Po obejściu walały się zbędnie graty, a nienaoliwiona furtka zaskrzypiała głośno, gdy pchnąłem ją, wchodząc na podwórze.

Podszedłem do drzwi chaty i delikatnie nacisnąłem klamkę. Nie stawiała oporu. Wsunąłem się do ciemnej sieni. Drzwi do izb były pozamykane. Zrobiłem krok naprzód i wtedy usłyszałem za sobą delikatny szmer. Nim zdążyłem się odwrócić, ktoś złapał mnie i zatkał dłonią usta. Krzyk uwiązł

mi w gardle. Ze strachu ugięły się pode mną nogi. Szczęknęła sprężyna noża i poczułem ukłucie w czubek nosa. Kiedy uścisk dłoni na moment zelżał, głęboko wciągnąłem powietrze. Zaskrzyphiały zawiasy u drzwi, sień załała poświata dobiegająca z izby, a czyjaś dłoń pchnęła mnie silnie w tamtym kierunku. Z duszą na ramieniu przekroczyłem próg. Przy stole siedział uśmiechnięty Maniek. Odwróciłem głowę. Za mną, trzymając w dłoni nóż sprężynowy o cienkim ostrzu, stał Leon oparty o framugę drzwi.

– To była pierwsza lekcja – powiedział poważnie. – Nigdy nie wchodzi na melinę, dopóki nie jesteś pewien, że jest czysto. W naszym fachu różnie bywa. Za drzwiami może czekać na ciebie żandarm albo hint²³. Dobrych ludzi nie brakuje, mogą cię sprzedać za parę kopiejek. Jeśli spieszno ci do cienia²⁴, to łaż jak baran po łące!

Zawstydzony opuściłem głowę i potarłem czubek nosa.

– Gościniec dla was, na pierwszą wizytę przyniosłem – powiedziałem kładąc na stole sumkę z kaszanką. Od siebie dołożyłem butlę samogonu.

Maniek przysunął torbę i wyjął butelkę. Wprawnym ruchem wybił korek i powąchał zawartość.

– Od Zapaly – zauważył z uznaniem – od razu poznać. On do kadzi miętę wrzuca. Zajzajeru wtedy nie czuć. Przedni bimber, jak mnie na marach złożą, możecie mnie nim pokropić.

Lepszy niż święcona woda będzie – powiedział ucieszony.

– Jest i na zagryzkę – odezwałem się onieśmielony.

Oczko wyjął pakunek i rozerwał papier.

– No, panie Duszański, jak dla mnie to trafiłeś w sedno. Do terminu można cię przyjąć! – Rzucił z uśmiechem. – Leoś,

²³ hint – policjant (gwara)

²⁴ cień – więzienie (gwara)

wytłumacz młodemu, jak ma wchodzić na pokoje. Ja za ten czas zawtrak²⁵ uszykuje.

Tabakiera, który wciąż stał oparty o framugę, złożył nóż i wsunął go do kieszeni marynarki.

– Chodź na podwórze. – Uśmiechnął się i dworskim gestem ręki zaprosił mnie na zewnątrz.

Stanęliśmy na wprost drzwi.

Leon położył mi dłoń na ramieniu. Przez chwilę milczał patrząc na mnie badawczo.

– Na futrynie wisi podkowa, widzisz? – Odezwał się.

Skinąłem głową.

– Wiesz, po co ona tu figuruje? – Spytał.

– Przybija się na framudze, żeby szczęście w chałupie gościło – powiedziałem niepewnym głosem.

Mój rozmówca skinął potwierdzająco głową.

– W większości domów tak się robi. U nas to znak, że ktoś jest w obejściu. Spójrz, ta podkowa luzem wisi. Jak któryś z nas wychodzi i chawira zostaje pusta, podkowę kładzie na parapecie. Zapamiętaj to sobie. Jeśli wracasz i nie ma podkowy na framudze, dokładnie obejrzyj próg albo pomacaj ościeżnicę.

Leon sięgnął na górę drzwi i zdjął niewielki przedmiot, który pokazał mi na wyciągniętej dłoni.

– Zapewne wiesz, co to jest?

– Każdy wie – bąknąłem nieśmiało. – Gwóźdź szewski.

Teksik, fleki do obcasów się nim przybija.

– Brawo Heniu, widzę, że i na szewstwie się znasz – zakpił.

– Tyle, że u nas ten teks przed hintami ostrzega.

Zdumiony uniosłem brwi, a Tabakiera ciągnął dalej:

²⁵ zawtrak – śniadanie (rosyjski)

– Nie zamykamy na klucz pierwszych drzwi, tylko te do izby. Przez okno nikt nie wejdzie, bo okiennice ryglowane od wewnątrz. W pierwsze drzwi, w szparę futryny, poniżej klamki wkładamy teksa. Mały i zardzewiały, nikt kto nie wie, że tam tkwi, nie zauważy go. Jak ktoś otworzy podwoje do naszego pałacu, teks wylatuje. Proste i skuteczne.

– Proste – potwierdziłem – zapamiętam.

– Teraz chodź do izby. – Poklepał mnie po ramieniu. – Ten obżartuch gotów całą kiszkę sam zjeść.

Siedzieliśmy przy stole, kończąc śniadanie. Maniek przyrządził kiszkę na gorąco z podsmażoną wędzonką i cebulą.

Jeśli kradnie tak samo dobrze jak gotuje, to wiele się można od niego nauczyć – pomyślałem, uśmiechając się pod nosem. Leon przyniósł ze spiżarni kankę piwa i połał do kubków.

– Choćby cię ze skóry obdzierali – zaczął niespodziewanie – nie możesz przy obcych odezwać się do nas po imieniu. Zapomnij wtedy o Leonie i Mańku. Oczko i Tabakiera, tak masz się do nas zwracać. Rozumiemy się, Hrabio? – Spytał Leon z naciskiem na ostatnie słowo.

– Rozumiemy się Tabakiera – powiedziałem, patrząc mu w oczy. – Przy obcych nie ma imion.

– Jeszcze będą z niego ludzie. – Maniek uśmiechnął się, przyglądając mi się uważnie. – O ile go muchy w cieniu nie zjedzą.

Leon pokiwał głową.

– Umyj statki. Tam masz wiadro z wodą i popiół z piachem. – Wskazał ręką w kąt izby. – Odrobisz się i pójdziemy na targ.

Bez słowa zebrałem naczynia ze stołu i zabrałem się do szorowania.

Oczko zniknął wśród kramów w poszukiwaniu tytoniu.

Leon siedział na cembrowinie studni odwrócony do mnie bokiem. Patrzył przed siebie, zdawało się, że nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi.

– Jak doisz frajera – tłumaczył cichym, spokojnym głosem – oczy musisz mieć dookoła głowy. To, że osłania cię tycer, nie znaczy, że jesteś bezpieczny. Wokół siebie masz setki oczu. Nieprzyjaznych, gotowych w każdej chwili zdać cię do cyrkułu, pobić i okaleczyć. Nie każdego da się zdoić. Przed włożeniem łapy do kieszeni musisz dokładnie obejrzeć dolatora. Pochodzić za nim, trącić ramieniem. Wtedy wiesz, jak klient reaguje. Większość ludzi popchniętych, czy lekko uderzonych odruchowo odwraca głowę i przeprasza. Czasem spojrzą z wyrzutem bądź mrukną coś nieprzychylnego i idą dalej. Takich najprościej zrobić. Trafiają się jednak nerwusy, którzy przy każdym dotknięciu skaczą jak dźgnięci sztydłem. Rozglądają się w panice, łapią za kieszenie, w których chowają dobytek. Ma to tą dobrą stronę, Od razu wiesz, gdzie frajer piter trzyma. Jeśli gra warta jest świeczki, możesz podjąć ryzyko. Podchodzisz wtedy z tycerem i konikiem. Tycer kołuje dolatora, pcha go, przewraca i podnosi, robi wszystko, by ten zbaraniał. Wystawia go na dobry strzał. Karmannik musi zadziałać błyskawicznie. Najważniejsze, by jak najszybciej pozbyć się szmoktu i odskoczyć. Tycer odbiera fant i upycha go konikowi. Ciężka robota i łatwo wpaść. Spory sarmak²⁶ musi mieć frajer, żeby się na to porwać. Niektórzy są na tyle beztroscy i naiwni, że noszą sarmak prawie na wierzchu i łatwo ich zdoić. Trzymają też piter w karmanie marynarki, na dupniku czy wręcz w koszu na zakupy. Grzech nie brać.

Tabakiera skinął głową przed siebie.

²⁶ sarmak – pieniądze (gwara)

– Patrz Hrabia – powiedział – ten kmiotek w surducie. Mieszek z forsą ma u pasa na rzemieniu zawieszony. Dynda się jak barania torba, aż się prosi, żeby go skroić. Tyle, że tu trzeba ciąć. Nie odsupłasz mieszka spod kapoty, a ja nie lubię z majchrem na robotę chodzić. Tu trzeba mieć kawałek ostrza w drewnie oprawiony, mojkę sprawioną do doliny albo mały, ale ostry nożyk. Cyganek składany się do tego nadaje jak żaden. Taki kozik dobrze wyrychtowany, można jedną ręką otworzyć i zamknąć, nie wyjmując go z karmana. Jedyne kłopot w tym, że w tłumie możesz siebie skaleczyć albo frajera zaciąć, a wtedy krewa.

– Tabakiera – przerwałem mu wykład i zapytałem: – Co to jest mojka²⁷?

– Ostrze z brzytwy przerobione – odparł. – Rezuny umieją tym niezłe wywijać. Takim cackiem przytroczonym do szpagatu potrafią na kilka stóp celnie rzucić i jednym ruchem ostrze do siebie poderwać. Pysk ci potną nawet nie wiesz kiedy. Jak skrócisz ostrze, możesz dupniaka i mieszki robić. Tylko, że ty bracie masz być doliniarzem fachurą, a nie z kosą latać i krew puszczać. To pierwszy lepszy czomp²⁸ potrafi. Słuchaj dalej i ucz się. Tamten w muszce i dęciaku, ten szczupły, co na urzędnika wygląda, widzisz? O ten, co teraz chusteczki kupuje. – No widzę – powiedziałem.

– Tego można by wynieść z rynku, nawet by się nie spostrzegł. Pularys zawsze za parkanem nosi, z prawej strony. Co chwilę się maca i sprawdza, czy jest na miejscu.

– Skąd wiesz, że tam ma piter? – Spytałem z niedowierzaniem.

– Bo już dwa razy go skroilem – zaśmiał się cicho Tabakiera. – Kiedy drugim razem wyjąłem mu portfel, to ze

²⁷ mojka – przerobione ostrze brzytwy (gwara)

²⁸ czomp – bandyta (gwara)

środką wysupłałem sarmak i włożyłem pusty fant do kieszeni. Taki z niego kloc! Teraz patrz młody, zobaczysz jak pan złodziej pracuje.

Zza bud wyłonił się Oczko. Szedł wolnym krokiem, ubijając kciukiem machorkę w stambułce. Tabakiera wstał z cembrowiny, otrzepał spodnie i szybkim ruchem głowy wskazał na kogoś z tłumu.

– Patrz dobrze jak zdoimy frajera, nie idź za nami od razu. Czekamy na ciebie u Herszela.

Maniek przytrzymał fajkę w zębach, przeciągnął się, aż chrupnęły mu stawy i zdjął marynarkę, przewieszając ją na przedramieniu. Ruszyli w stronę ofiary.

Idą niczym wilki na owce – pomyślałem, patrząc na nich w skupieniu.

Maniek zmarszczył brwi i pociągnął kilka razy fajkę. Wyjął ją z ust, spojrzał w wygasły cybuch i podszedł do handlarza, który stał oparty o swój kram. Zaszedł go od tyłu i zasłonił przed ludźmi przechadzającymi się obok kramów.

– Dajcie ognia, jeśli łaska – uśmiechnął się prosząco.

Kramarz potarł zapałkę o draskę i osłaniając ją dłonią, podsunął Mańkowi, by ten odpalił stambułkę. W tej chwili do straganu podszedł Tabakiera.

– Ta papierośnica to za ile by poszła? – Zapytał, podnosząc pierwszy z brzegu przedmiot znajdujący się na blacie.

Handlarz na chwilę odwrócił wzrok od Mańka i odpowiedział:

– Rubla liczę, to plater, prima towar!

Oczko zdmuchnął zapałkę, puścił kłęb aromatycznego dymu i mruknąwszy pod nosem krótkie „spasiba”, zrobił krok i zatrzymał się. Wyglądał niczym przypadkowy przechodzień, który przysłuchuje się jak sprzedawca i klient dobijają targu.

– Osiemdziesiąt kopiejek dam – Tabakiera uśmiechnął się przymilnie.

– Dziewięćdziesiąt pięć też nie wezmę – obruszył się handlarz. – Rubla trzeba dać.

– Za drogo dla mnie. – Niedoszły klient skrzywił się, odchodząc.

Przez chwilę stałem oniemiały. Nie zauważyłem, kiedy Leon zdołał kupcowi portfel. Przeszedłem powoli obok niego. Stał dalej przy straganie, poprawiając i frontując towar na stole, nieświadomy, że właśnie stracił utarg.

Siedziałem w domu, czekając na ojca. Rano zapowiedział, że będzie miał ciężki dzień. Złapał robotę przy melioracji w Rytwianach. Całe dnie woził belki na stawidła. Przygotowałem skromną kolację. Chleb, wędzona słonina i kilka kiszonych ogórków czekały w misce, przykryte lnianym bieżnikiem.

Ojciec wrócił zmęczony i podpity jak zwykle. Pomogłem mu oporządzić konie. Przez cały czas milczeliśmy. Wyczułem, że coś go gryzie.

– Heniek – spytał, krojąc chleb – w co ty się pakujesz?
Zdumiony podniosłem brwi i spytałem:

– O co ojcu chodzi? Przecież nic złego nie robię.

– Ty mi tu nie fucz Heniek! – Powiedział ostrzegawczo.

– U Herszela się załapałeś, to wiem. Pretensji nie mam. Lepiej ci u niego, niż na targu za pomietło robić. Tyle, że ludzie różnie o nim mówią. Uważaj, żeby cię nie skrzywdził.

– Przecież mnie nie bije – odpowiedziałem cicho – jakiej krzywdy od niego doznam?

– Starego wróbla na końskie łajno nie bierz – odparł z niesmakiem. – Niosłeś przedwczoraj kantar do rymarza? Nie krzyw się. Wiem, że niosłeś! Byłem u niego, żeby mi lejce połątał. Proponował mi ten kantar. Tak do mnie powiedział: „Mało wam Ambroży policzę, po znajomości. Wasz Heniek

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

